

dodatek • ABC • niedzielny

Wanda Firley

Polacy na szlakach świata W parańskim interiorze

— Wyjechaliśmy wczesnym rankiem z Kurytyby — zaczął swe opowiadanie p. X. którego uprosiłam aby wydobyl coś ze swej skarbicy wspomnień jakie mu zostały liczne podróże. — Nasz „ford” bardzo mocna maszyna nadawał się jak żaden inny samochód do tej drogi. Wiedzieliśmy bowiem co czeka nas, gdy wjedziemy w t. zw. parański interior, to jest część stanu gdzie dotąd stoją dziewicze nieprzeniknione lasy a jedyną drogą jest dawny szlak konkwistadorów, zbudowany w 16-tym wieku i od-

postępując za pierwszymi zdobywcami kraju budowali ten szlak, nie mieli pojęcia o serpentynach i spiralach, tak bardzo ułatwiających wjazd nawet na znaczne wysokości w nowoczesnych drogach.

Trudy wjazdu wynagrodził nam przepiękny widok na niezmierny obszar stepów gwarapuaskich. Mieliśmy przed sobą królestwo odwiecznych władców tej krainy — rezerwat indyjski.

Rząd brazylijski, w trosce o wymierające szczepy indyjskie, wyznaczył obszary, na które

plyty niższy jest o 1½ metra od następnej. Chwilami byliśmy bezradni.

CZARNY POLAK

Wszystko jednak ma swój koniec nawet nasza droga. To też pewnego dnia wyjechaliśmy w okół Catanduvas najbliższą część Parany. Tu znajduje się ta zapomniana przez wszystkich osada polska.

Przyjazd nasz mimo, że auto musiało być służyć nie wywabił nikogo z domu, wszyscy byli w moze 9-cioletni Murzynek wypolu przy pracy. Jedynie mały biegł na nasze spotkanie Towarzystwo mój chciał go zapytać o drogę, ale przerwałem mu, mówiąc po polsku, że sami znajdziemy.

— A co panowie chcą znaleźć? — odzywa się Murzynek najczystsza polszczyzną.

Jesteśmy zdumieni.

— Dom p. Kowalewskiego.

— Ja zaprowadzę, bo to mój tatuś.

Zdziwienie nasze jeszcze się zwiększa.

— Jakto — pytamy — kto ty jesteś?

— Polak mały — słyszymy z dumą rzuconą odpowiedź.

Dopiero na miejscu wyjaśniło się, że Murzynek jest wychowankiem p. Kowalskich.

KTOŚ Z POLSKI!

Przyjmowano nas na tej polskiej osadzie po królewsku. Ogłędano nas niemal z niedowierzaniem. Przyjechaliśmy przecież z tej krainy ich snów z Wolnej Polski, który żaden z osiadłych tu od kilkudziesięciu lat Polaków nie widział. Musiałem opowiadać, opowiadać, opowiadać.

— Ach Boże! Pan jest oficerem rezerwy polskiego wojska, nasze wojska — powtarza ze łzami w oczach jeden z kolonistów.

— Bliź się pan w 20-tym roku z bolszewikami — przypatruje mi się drugi w nabożnym skupieniu.

C. O. P. I GDYNIA

A potem długo jeszcze musiałem opowiadać o nowej Polsce, o wspaniale rozwijającej się

Swoj własny kraj tak zagospodarowywać — jak tutaj robimy. Pracowicie dla Polski i na chleb jednocześnie. Mamy dzieci, co już umieją, znają robotę od początku, wiedzą jak własnymi rękami trzeba wszystko puszczą wydrzeć.

— Ja jak przyjechałem tu, wynajętą karosą, przywiozłem żonę, 7 dzieci i 7 milrejsów (2 zł.) majątku — mówi tu zadumany p. Kowalewski. Była tu tylko puszcza. a teraz okiem nie obejmie

sze dzieci budować polską potęgę kolonialną.

I ja miałem iży w oczach dziękując za te słowa.

Poszliśmy więc zobaczyć kościół, szkołę w której uczy, naturalnie po polsku, nauczyciel sprowadzony aż z odległej Kurytyby oraz świetlicę, gdzie również odbywają się bale. Wszystkie domy i zabudowania świadczyły o zamożności osadników.

NAJWIEKSZE WODOSPADY ŚWIATA

— Gdzie też panowie zbywają swoje produkty? — pytam, wiedząc, że nie ma tam nigdzie bliżej niż o 200 — 300 km. żadnego miasta.

— W Toz — do Iguasu — słyszę odpowiedź. Jeździmy tam co tydzień.

Foz-do-Iguassu, miasto, leżące na granicy trzech republik: Brazylii, Argentyny i Paragwaju, powstałe przy największych wodospadach świata, przekraczających siłą wodospady Niagara, odwiedzane przez liczne rzesze turystów — jest dobrym rynkiem zbytu, lecz aby się doń dostać, trzeba przebyć 200 km dziewięć puszczy.

Powrotna droga wydała nam się łatwiejszą mimo, że były to te same góry i wertepy. Myśl nasza biegła ku tamtym ludziom, których wysiłek i osiągnięte rezultaty imponowały nam. Myśleliśmy równie o ich rodzonych braciach, o tych milionach polskich wieśniaków, z których w każdym drzemie moc, jaką możnaby spędzić do budowy potęgi kolonialnej Polski.



Droga „pojezuicka” na Cotadauvas w górach „Serra do Chagu”

tańd pozostawiony swemu losowi.

Podróż nasza miała na celu dotarcie do polskiej osady Cascaval w okolicy Catanduvas składającej się 40 rodzin, które przybyły w te dzikie okolice kilkadziesiąt lat temu. Ludzie ci potrafili sami, zdala od wszelkich innych skupisk ludzkich, wywalczyć sobie byt w niegościnniej puszczy. Ciekawiła mnie ich psychika, chciałem dowiedzieć się, czy myśli o Polsce żyje u nich jeszcze choćby we wspomnieniach.

Pierwsze 400 km. — najłatwiejsza część drogi prowadzi przez stepy Ponta - Grosso, piękne, nie nużące swą jednostajnością, bowiem krajobraz urozmaica falistość terenu i kępy drzew rzadko rosnące na tym oceanie zieleni. Wypoczywając w

bez pozwolenia władz, wstęp białemu jest surowo wzbroniony. Chodzi o to, aby Indianie, te wielkie dzieci, nie padały ofiarą oszustw białych kombinatorów, od których i tak już przyszła do nich wódka i różne choroby.

OSADA ŚMIECHU

— Stepy gwarapuaskie są własnością szczepu. Gwarani, którego język wywarł wielki wpływ na język brazylijski. Dość powiedzieć, że nazwa stolicy Parany — Kurytyba, jest nazwą gwarani, a oznacza „osadę śmiechu”. I zgodnie z tą nazwą, życie w Kurytybie płynie tak pogodnie i miło — mówi p. X., uśmiechając się do jakichś miłych wspomnień.

AUTEM W BRÓD

— Natomiast, gdy po przeje-

Jerzy Stokowski

O obcych agenturach w malarstwie polskim

Jeżeli przeczytamy kilka krytyk bieżących wystaw plastycznych, niewątpliwie zwrócimy uwagę na to, że cały szereg recenzji zawiera gruntowne uzasadnienie „naukowe” tego, co się dzisiaj tworzy. Uzasadnienie to jest przeznaczone dla widza i odczytanie dla malarza, który nie zawsze może sobie pozwolić na sprezywanie własnych osiągnięć.

Ten typ krytyki jest nieodstępnym towarzyszem każdej nowoczesnej wystawy, a jego naukowość polega z jednej strony na stwierdzeniu sposobu ustosunkowania plam barwnych i pewnej w tym względzie analizie, oraz z drugiej na wychwyceniu wszystkich możliwych filiacji „kierunkowych” i indywidualnych zależności od takich mistrzów malarstwa francuskiego, jak Chardin, Henri Matisse, Georges Braque, Pierre Bonnard i szczyt wszystkich Paul Cézanne.

Jest najwyższą pochwałą napisać o kimś, że tworzy „niemal chardenowskie martwe natury”, że u kogoś przewijają się „kategorie malarskie Matisse’a, lub, że są widoczne „wpływy bonnardowskie”.

Zfrancuzienie i zażydzenie atmosfery malarstwa i krytyki warszawskiej jest potworne, a już tak daleko posunęte, że na prawdę trzeba wiele pracy, aby całkowicie zastąpić tych fachowców, którzy swój talent i wiedzę wykorzystują dla bojowego propagowania materialistycznych postulatów motnarnassowsko-ży-

dowskiej sztuki. A robią wszystko z takim rozmachem, że sami artyści i studenci Akademii Sztuk Pięknych, zdają się poza niezliczonymi przemianami malarstwa francuskiego „od Manet’a po dzień dzisiejszy” nic nie widzieć.

Nasi zdolni, najzdolniejsi i genialni artyści, tkwią korzeniami w obcym gruncie i oni, którzy powinni być przodownikami Narodu, wyjąławiają się bez reszty nad wymyślaniem, wymyślonych już przez Francuzów sztuczek, w dziedzinie kładzenia farby.

Nie widzą wcale, że jest to absolutnie polskiemu społeczeństwu i polskiej kulturze niepotrzebne.

Z drugiej strony skarżą się na brak zainteresowania sztuką, że strony tego społeczeństwa, a jednocześnie całą swoją działalnością bronią się przed wszelkim z nim kontaktem.

Nie istnieje u nas na szeroką skalę, ani malarstwo historyczne, ani batalistyczne (co za możliwość barwna!), ani religijne. Maluje się wyłącznie martwe natury, lub fragmenty życia, w pogoni za wydobyciem koloru zniekształcone tak, że normalny człowiek przechodzi obok nich co najwyżej obojętnie.

Konsekwentne pomijanie życia polskiego w twórczości malarzkiej, albo pokazywanie go z pozabawieniem jego najistotniejszych cech duchowych — wewnętrznych (tylko pod kątem światła i koloru), to świadoma lub nieświadoma działalność przeciw polskiej kulturze i sztuce.

Nas dzisiaj nie może peszyć protekcyjno - drwiący ton tych, którzy ganią polską, zaściankową jakoby, twórczość, w imię naśladowania Zachodu.

Ten Zachód demokratyczny, masoński jest dzisiaj w stanie rozkładu. Nie możemy być jego epigonami, bo my jesteśmy na to zbyt zdrowi i zbyt wiele mamy wartości w sobie.

A ci, którzy patrząc na obrazy Jana Matejki, czy główki Wyspiańskiego spostrzegli w nich jedynie braki koloru i niedociągnięcia do francuskichizmów, są produktem obcej, zgniłej myśli, bo już nie są zdolni zauważyć wspaniałej, genialnie odczuwanej polskości.

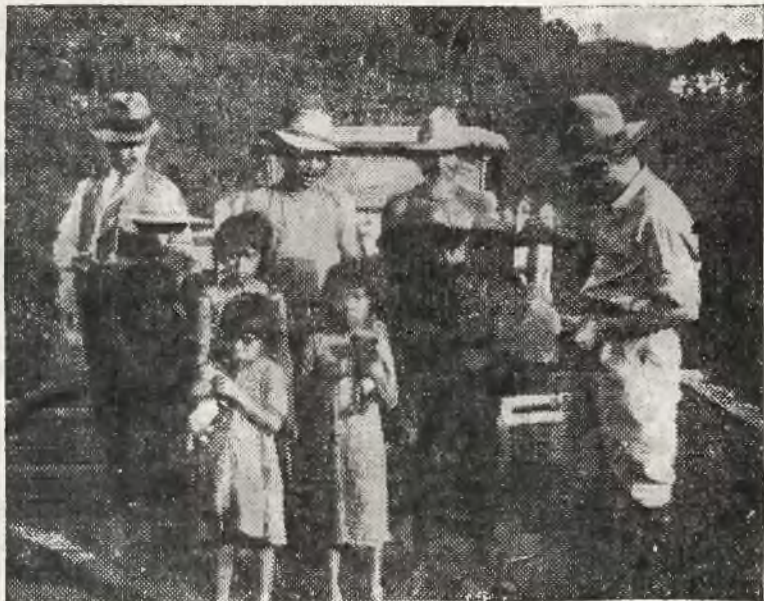
Oni właśnie głoszą ludzkość, że epoka ostatnia przyniosła pełne zwycięstwo „czystej” pozbawionej różnych naleciałości sztuki. Jednym słowem, że to, co oglądaliśmy dotąd to była tylko kolorowana i rysowana literatura, a prawdziwe, rasowe malarstwo, to dopiero Tytus Czyżewski, Wacław Taranczewski i wszyscy Gotliebowie.

Propagowanie tego typu malarstwa to dążenie do stworzenia międzynarodówki w sztuce i chęć wciągnięcia nas w orbitę doktryny, będącej odpowiednikiem marksizmu, wysuwanego dotąd wyraźnie, jedynie w kwestiach społecznych i ekonomicznych.

Tak, jak do pewnego czasu wśród warstw intelektualnie kierowniczych był modny ateizm,

socjalizm, braterstwo ludów, Liga Narodów i pacyfizm, tak jak dzisiaj cała najjędrniejsza i najbardziej żywotna część narodu odrzuciła to jako żydowskie osłabiające naszą prężność wymysły, tak my stoimy obecnie w obliczu konieczności wyrzucenia specyficznego braterstwa ludów ze sztuki przypominającego jakiś powszechny obłęd, w którym dorolli ludzie bawią się kolorowymi klockami — plamami, ustawiając je bez głębszej myśli i sensu. Tylko tak, aby było ładnie. Ponieważ, jak pisze jeden z warszawskich krytyków: „W tych wieloletnich poszukiwaniach największych talentów malarzskich odkryto pewną prawdę techniczną: że siłę barwy można w obrazie wydobyć z jednej strony przez spowodowanie plam do wzajemnego na siebie oddziaływania i z drugiej przez obfite nakładanie na płótno farby”.

Zacytowane wyżej zdanie nie jest ani głębokie, ani mądre, niemniej jednak zawiera całe nastawienie frontu żydowsko - miedzynarodowego, które dla nas, katolików, przez swoją idealizację formy, wyjąłowanie i degenerację — jest nie do przyjęcia. Dzięki wysiłkom żydów i nacjonalistów, a stale inspirowanych przez nich tubylców, w sztuce świeci ono największe triumfy jeszcze dzisiaj. Żydz i za i ci właśnie tubylcy — tworzą front tak zwarty, że nie inaczej będą z naszego życia usuwani, jak tylko w całości.



Wśród Indian Guarani

takiej małej oazie cieni rozpoznawaliśmy gatunki drzew. Oprócz charakterystycznych dla krajozobu brazylijskiego niespotykanych nigdzie indziej na świecie piniorów, rosną tam jeszcze intuiste i peroby — potężne drzewa, wielkością swą i rozłożystością przypominające nasze dąby i wiązy.

GÓRY NADZIEI

— Sierra, do Esperanza (góry Nadziei) dały nam pierwszy przedsmak tego co czekało nas dalej. Ojcowie Jezuici, którzy

chaniu stepu, wyjechaliśmy w góry Serra do Chagu, życie nasze przybrało barwy bardzo ciemne. Serra do Chagu, łańcuch zupełnie nie zamieszkały, pokryty dziewiczym lasem, o stu strumykach i rwących rzeczkach, które musieliśmy — przebyć autem w bród, dał się nam bardzo we znaki. Nasz Ford stał się po prostu zawadą, trzeba go było popychać i wyciągać z dziur, w które zapadał. A dziury te były liczne. Pojezuicka droga wykładana olbrzymimi płytami, jest w stanie rozpaczliwym, często poziom jednej